



Rozmowa z Anną Zawadzką z Archiwum Etnograficznego, reżyserką filmu dokumentalnego „Żydokomuna”.

Skąd wziął się pomysł na dokument pt. „Żydokomuna”?

- Archiwum Etnograficzne, w którym pracuję, prowadzi wieloletnie badania pamięci o Żydach i Zagładzie na polskiej prowincji. W grudniu 2007 r. pod kierunkiem prof. Joanny Tokarskiej-Bakir badaliśmy hajnowsko-bielskie na Podlasiu. Przed wojną ten rejon był stosunkowo „czerwony”, prawdopodobnie ze względu na bliskość Związku Radzieckiego. A także dlatego, że duża część ludności zamieszkującej okolice Hajnówki doświadczyła w dwudziestoleciu międzywojennym, w trakcie wojny i zaraz po niej rozmaitych prześladowań etnicznych i religijnych z rąk polskich narodowców, ponieważ była prawosławna i białoruska lub „tutejsza”, a nie polska. W zespole AE postawiliśmy hipotezę, że m.in. te dwie zmienne – lewicowe upartyjnienie i przynależność do mniejszości - będą miały wpływ na kształt pamięci o Żydach. Wywiady z lewicowymi działaczkami i działaczami przedwojennymi miały być swoistym sprawdzeniem tej hipotezy. Zaczęło się więc na Podlasiu. Najpierw od wspomnień naszych podlaskich rozmówczyń i rozmówców – o Hramadzie, o KPZB, o OM TUR, o 1 maja, o strajkach w Hajnówce.

Jak dotarłaś do tych wszystkich ludzi? Chcieli w ogóle podzielić się wspomnieniami?

- Film robiłyśmy razem z Alicją Plachówną. Ona jest autorką zdjęć i montażystką. Razem poszukiwałyśmy rozmówczyń/ów. Dzwoniłyśmy pod każdy podany nam kontakt, bo „ktoś słyszał”, „babcia kolegi”, „sąsiad koleżanki” „czytałem gdzieś wywiad” itd. Usłyszałyśmy mnóstwo odmów. Można je liczyć w setkach. Pod wieloma adresami nikogo już nie było: to bardzo wiekowe pokolenie.

Często bramą nie do pokonania okazywały się dzieci naszych potencjalnych bohaterów/ów czyli pierwsze pokolenie powojenne, dziś opiekunowie starych i często schorowanych rodziców. Ich stosunek do polskiego antysemityzmu to osobny temat, który wciąż czeka na zbadanie i analizę. Wiele z tych osób uniemożliwiło nam kontakt ze swoimi matkami lub ojcami. Zapewne wynikało to z próby uchronienia rodziców przed manipulacją. Nie mogli wiedzieć, co zrobimy z zebrany materiał, czy zachowamy się uczciwie. Zdarzyło się, że niektórzy nasi rozmówcy przyjęli w swe progi dziennikarzy lub historyków, którzy podszywali się pod życzliwych, by zdobyć wywiady, a potem pisali paszkwile na „komuchów”.

Czasem jednak dzieci naszych rozmówczyń/ów traktują swoich rodziców jak przechowywane w

domu bomby. A nóż coś chlapną w poprzek antykomunistycznym oczywistościom, „splamią” ich opozycyjne nazwisko. Nie chcieli dopuścić do bezpośredniej rozmowy ze względu na osobiste przekonania.

To jeden z wyników naszych badań: okazało się, że dziś trudniej „przyznać się” do bycia niegdyś socjalistą lub komunistką, niż do bycia Żydem/Żydówką. Wiele to mówi o nastrojach w Polsce. Narzucają one najlepszą cenzurę, bo cenzurę uwewnętrzną. Wielu wysyła na emigrację wewnętrzną.

Tym większe uznanie mam dla tych, którzy mimo kontekstu społecznego i politycznego zgodzili się z nami porozmawiać – o przeszłości swojej lub swoich rodziców. W tym miejscu chciałabym gorąco podziękować wszystkim, którzy udzielili nam kredytu zaufania i pomogli skontaktować się z potencjalnymi bohaterami/kami filmu.

Pojęcie "żydokomuny" skutecznie funkcjonuje także i dziś. Ale wydaje się, że straciło taki impet, jaki miało przed wojną. Możemy mówić o moralnej klęsce tych, którzy głosili to hasło?

- Moim zdaniem impet ma nadal potężny, zmienił się natomiast bagaż znaczeniowy tego pojęcia. Przed wojną komunizm jako idea i jako ruch był w Polsce w zupełnie innej „pozycji przetargowej” niż po wojnie i niż po PRL-u. Inne były sposoby jego atakowania i dezawuowania. Przed wojną pojęcie „żydokomuny” służyło m.in. odstraszaniu ludzi od lewicy z pomocą antysemityzmu oraz podsycaniu atmosfery niechęci do Żydów. Po wojnie służyło m.in. usprawiedliwianiu postaw Polaków wobec Żydów podczas Zagłady oraz zabójstw na Żydach dokonywanych przez partyzantkę niepodległościową. Dziś jest ważnym elementem polityki historycznej, zgodnie z którą demonizowany PRL to dzieło obcych, a nie Polaków, a przemoc wobec tychże obcych była dozwolona, bo zagrażali oni dobru Polski. Wszystkie te trzy płaszczyzny korespondują ze sobą. Wszystkie wybrzmiewają echem we współczesnej polskiej prasie: od radykalnego prawa do centrum.

Najbardziej wyrazistą postacią w Twoim dokumencie był - przynajmniej moim zdaniem - Marek Edelman. Stwierdził on bowiem - i muszę się z nim zgodzić - iż przed wojenną KPP to byli w istocie faszyci. Traktował on komunistów bardzo srogo...

- Słowa Edelmana, które przytaczasz, ja traktuję jako zapis specyficznej aparatury pojęciowej przedwojennej lewicy. Przywoływanie przeszłości uruchomiło w moich rozmówczyniach/cach przedwojenny język. Epitet „faszysta” był częstą obelgą stosowaną wobec wrogów politycznych. W filmie pada on kilkakrotnie. Ewa Lipińska-Leder nazywa faszystami niektórych syjonistów. Prawdopodobnie ma na myśli rewizjonistów z ruchu Włodzimierza Żabotyńskiego. Biorąc pod uwagę definicję faszyzmu, Lipińska-Leder ma więcej racji niż Edelman. Różnorodność przedwojennej lewicy – dziś często sprowadzanej do wspólnego mianownika - jest także przedmiotem filmu. Niejednokrotnie spory pomiędzy różnymi jej frakcjami uniemożliwiały wspólne działanie w kwestiach podstawowych takich jak reakcje na policyjne stłumienie strajku czy pogrom. Słowa Edelmana to echo ówczesnej atmosfery, w której Bund nieustannie kłócił się z KPP, KPP wyzywało PPS od reakcjonistów itd.

Zauważasz gdzieś dziś, tu i teraz, tendencje podobne do tych przedwojennych? Nie ma dziś numerus clausus na wyższych uczelniach, nie ma ONR-owców, którzy decydują kto

gdzie ma siedzieć...

- Przedwojenny numerus clausus czy funkcjonowanie ONR-u to był antysemityzm legitymizowany, a czasem ordynowany państwowo. Antysemityzmem sterowanym przez władze państwowe była też czystka „antysyjonistyczna” lat 1967-1968. Jeśli się pojawiają, państwowe kampanie antysemickie wywołują oburzenie, ale zazwyczaj są one wierzchołkiem góry lodowej antysemityzmu potocznego, nieoficjalnego, zwyczajowego. Dziś w Polsce antysemityzm jest w języku, w wyobrażeniach na temat Żydów, w koncepcji „antypolonizmu”, w teoriach spiskowych, w idealizowaniu II Rzeczypospolitej, w gloryfikowaniu tych partyzantów, którzy m.in. dokonywali czystek etnicznych, w pojęciu „żydokomuny” itd. Dzisiejszy antysemityzm to tzw. „antysemityzm bez Żydów”, więc wybrzmiewa głównie w dyskursie. A także w poczuciu radykalnej obcości wobec Żydów. Dopiero co wróciłam z kolejnej ekspedycji badawczej AE: tym razem na lubelszczyznę. Nasze rozmówczynie/wcy opowiadali o Zagładzie, której rozmaitych form oni lub ich rodzice byli naocznymi świadkami - tak, jak ja opowiadałabym o filmie SF klasy C na temat kataklizmu wśród marsjan. Nie jest to efekt przedawnienia, bo tym samym osobom zdarzało się płakać ze wzruszenia mówiąc o Katyniu.

Tendencje przedwojenne, analogiczne do tych antysemickich, widać natomiast we współczesnych europejskich politykach wobec emigrantek/ów i Romek/ów. Państwa takie jak Francja, Włochy czy Hiszpania, których ustawodawstwo opiera się ponoć na prawach człowieka, nie wpuszczają do swoich krajów uchodźczyń/ów trzymając ich w zamkniętych, przygranicznych obozach. Wiele krajów europejskich – Słowacja, Czechy, Węgry – zamknęło ludzi innych niż biali w otoczonych murami gettach. Na Węgrzech co tydzień bojówki nacjonalistyczne organizują parady w miejscowościach, w których mieszka wielu Romek/ów. Zastraszają i prześladują lokalnych mieszkańców, a państwo nie reaguje. Policja patrolująca granice UE skazuje ludzi na śmierć nie dopuszczając, by uchodźczynie/y podróżujący na przeładowanych łodziach dopłynęli do brzegu Europy. Ludzie z innymi dowodami niż europejskie na granicach traktowani są chamsko i brutalnie. Procedury przewidziane przez polskie prawo dla osób, które starają się o status uchodźcy, są niezwykle upokarzające. To są prześladowania etniczne i narodowościowe w majestacie prawa. Doniesień o nich jest coraz więcej. Moim zdaniem mamy do czynienia z postępującą faszyzacją Europy na szczeblu politycznym.

Jeden z Twoich rozmówców stwierdził słusznie, iż pojęcie "żydokomuny" jest drugorzędne. W rzeczywistości chodzi o to, iż jedyny rząd dusz w narodzie może sprawować prawica narodowa. Rzeczywiście to o to chodzi?

- Zgadzam się z dr Augustem Grabskim, że w pojęciu „żydokomuny” de facto chodzi o Polaków. Od strony antropologicznej wyjaśnia to psychiatra Sander Gilman, który posiłkując się psychoanalizą zbudował teorię niezwykle przydatną w badaniach społecznych. Zgodnie z nią stereotypy i przesady należy traktować jako doskonałe źródło wiedzy o społeczności, która stereotyp tworzy i projektuje na innych - ale nigdy o tych, na których stereotyp zostaje wyprojektowany. Śledząc historię stereotypów dotyczących ras, płci i szaleństwa Gilman udowadnia, że są one wypadkową lęków i tabu wspólnot, które stereotypy produkują. Dokładnie tak jest z „żydokomuną”: pojęcie to mówi wiele o jego użytkownikach, ale zgoła nic ani o komunistach, ani o Żydach.

Co mówi o Polakach, którzy go używają?

- Wróć na chwilę do genezy filmu. Już podczas badań na Podlasiu dyskutowaliśmy z prof. Joanną Tokarską-Bakir, która kieruje naszym zespołem, czy akces do lewicy osłabiał lokalny antysemityzm. Krok dalej postawiliśmy pytanie o przyczyny zjawiska dość uniwersalnego geograficznie i czasowo, jakim jest przystępowanie mniejszości - narodowych, etnicznych, religijnych, seksualnych - do lewicy.

Pytania te mogą brzmieć banalnie, lecz sprawa się komplikuje, gdy stawiamy je w świetle polskiej polityki historycznej. Bez względu na to, czy rządzi PiS, czy PO, jej przekaz jest spójny: wszystko, co lewicowe, jest niedemokratyczne, a kolejne polskie wolności to zasługa kolejnych polskich patriotów, którzy walczyli na równi z wrogami zewnętrznymi (zaborcy, hitlerowcy, sowieci itd.) i wewnętrznymi (komuniści, socjaliści, wywrotowcy, bezpaństwowcy, innowiercy itd.). Tu napotyka my kolejne pytanie: czy z tak rozumianej wolności może skorzystać ktoś, kto nie identyfikuje się jako Polak i katolik? Odpowiadając na nie, urodzi się pięć następnych.

Wszystkie prowadzą do jednego zasadniczego: o kształt polskiej wspólnoty narodowej i państwowej. Moim zdaniem „żydokomuna” to pojęcie dla tej wspólnoty kluczowe.

Analizując kulturową konstrukcję męskości Elizabeth Badinter pisała, że męskość to tożsamość ukonstytuowana poprzez potrójne odróżnienie: od dziecka, od kobiety i od geja. Działa to mniej więcej tak: wiem, kim jestem, bo wiem, kim nie jestem; mój sposób bycia jest negatywem zachowań stereotypowo przypisywanych dzieciom, kobietom i gejom; szanuję siebie, bo gardzę innymi niż ja. Z polskością jest podobnie. Tożsamość Polki/Polaka konstytuuje się jako negatyw „Żydówki/Żyda” i „komunisty”. „Żydokomuna” to szatan wcielony. Ważny jest cudzysłów, bo oczywiście wyobrażenie wroga to coś zupełnie innego niż realny Żyd czy komunistka. Ciekawy jest ten mechanizm: byt wyobrażony (mityczny wróg) buduje byt realny (prawidłowego Polaka).

Jak tak dłużej pomyśle, to dziś najczęściej hasło „żydokomuny” pada w stosunku do działalności publicystycznej Jana Tomasza Grossa. Ale nie uważasz, że dzięki niemu jesteśmy dalej niż byliśmy jeszcze 10-20 lat temu?

- „Żydokomuna” pojawia się w kontekście książek Grossa m.in. dlatego, że spośród wielu mitów polskich, ten o „żydokomunie” Gross także bierze na warsztat. W „Upiornej dekadzie” rozprawia się na przykład z wizją Żydów witających Armię Czerwoną.

Gross robi coś, na co pozwalają sobie nieliczni badacze społeczni w Polsce, bo mają za dużo do stracenia, zarówno we własnym środowisku, jak i wśród tzw. opinii publicznej: dekonstruuje mity dotyczące polsko-żydowskiego sąsiedztwa, mity arkadyjskie i sielankowe, działające jak balsam na polską pamięć. Przerywa zbiorową amnezję. Wywołuje tematy. Jak ogromna jest tego skala – przekonałam się na lubelszczyźnie. Podczas wielu wywiadów temat „kopania” – czy to grobów, czy terenów poobozowych, czy żydowskich podwórek – pojawiał się wcale przeze mnie niewywołany. Burza, jaką rozpętano wokół „Złotych żniw” dotarła pod przysłowiowe strzechy. Okazuje się, że recepcja książki Grossa jest dużo bardziej skomplikowana niż proste odrzucenie. Może ona także wywołać kolejne źródła, co dla badaczek/y jest bezcenne. To tylko jeden z przykładów, dlaczego jesteśmy „dalej”. Inny to taki, że na skutek nonkonformizmu Grossa wobec polskiego dyskursu dominującego, na podobną odwagę zdobywa się coraz więcej badaczek/y podejmując niewygodne tematy.

Przed wszystkim jednak książki Grossa nie traktują o Żydach, lecz o polskim antysemityzmie. To kolosalna różnica. Wystarczy, by rzucać pod adresem ich autora obelgi takie, jak

„żydokomuna“. Wszak zgodnie z każdym nacjonalistycznym dyskursem, kto mówi o „swoich“ złe rzeczy, ten „swój“ już nie jest, ten podlega wykluczeniu. Łatka „żydokomuny“ ma naznaczać obcych radykalnych, którym nie należy ufać i wobec których nie obowiązują standardy międzyludzkich zachowań. Problem prawicy – czy to naukowej, czy publicystycznej - z Grossem polega na tym, że mówi on z wyjątkowo autonomicznej pozycji. Nie obowiązują go polskie zmowy milczenia i tutejsze niepisane kodeksy, więc nie ma jak go subordynować, np. wykluczeniem zawodowym lub towarzyskim. Marci Shore, David Ost, Timothy Snider, Elizabeth Dunn - jeśli chodzi o najnowszą historię polityczną Polski, nie przypadkiem pionierskie książki piszą ludzie, którzy tu nie mieszkają.

Ruch narodowy uparcie próbuje wpoić nam, iż komunizm równa się Żyd. Otwieram książkę wydaną przez IPN „Aparat bezpieczeństwa w Polsce w latach 1944-1956” - a więc zapewne nie żydowskie wydawnictwo i czytam, iż jeśli chodzi o narodowość to np. Żydów w WUBP było jedynie 13,7% a więc mniej niż jedna piąta. Polaków z kolei było 66,4%. Pojęcie „żydokomuny” to chyba mit? Z mojej perspektywy istotne pytanie brzmi trochę inaczej: czemu służy wyliczanie ilości Żydów w UB? Jakie tezy są z pomocą tych cyfr – zapewniam Cię, że co książka to innych – udowadnianie?

- Mogłabym oczywiście mówić o tym, że przed wojną Żydzi nie mogli zajmować stanowisk państwowych, więc po wojnie każdy Żyd-urzędnik dowodził „skandalicznego zażydzenia”. Albo o tym, że polityka polskich władz stosowała zasadę „dziel i rządź” i obsadzała na znienawidzonych stanowiskach Żydów, by potem, korzystając z antysemityzmu, obarczać ich odpowiedzialnością za własne niepopularne decyzje. Albo o tym, że te 13% to niecałe 1000 osób. I tak dalej.

Przede wszystkim jednak pytanie o ilość Żydów w UB to samo serce stereotypu „żydokomuny”. Ta cyfra mówi: mamy za co was nie lubić. Ta cyfra krzyczy: może i Hitler was skrzywdził, ale wy skrzywdziliście nas. Ta cyfra to uzasadnienie polskiego antysemityzmu. W tej cyfrze upatruje się przyczyn niechęci do Żydów. Tymczasem tak zwana nadreprezentacja Żydów w administracji państwowej PRL, Żydów w partiach komunistycznych, Żydów w ruchach społecznych dążących do radykalnej zmiany, Żydów w rewolucjach 1905 i 1917 roku, Żydów w organizacjach na rzecz abolicji, emancypacji, równouprawnienia – to skutek. Skutek, a nie przyczyna. Dopiero analiza rzeczywistości społecznej, która go wywołała, pozwoli zrozumieć liczny akces Żydów do lewicy. Ale branie skutków za przyczyny to zabieg każdego rasizmu. Prosty przykład: pogląd, jakoby w niektórych stanach Ameryki Północnej „Czarni kradną (przyczyna), więc nikt nie chce ich przyjąć do pracy (skutek)” przeinacza fakt, że nikt nie chce przyjąć Czarnych do pracy ze względu na uprzedzenia rasowe (przyczyna), więc wielu Czarnych musi wchodzić w konflikt z prawem, by przeżyć (skutek). Właściwa kolejność przyczyn i skutków pozwala zatrzymać myślenie rasistowskie.

Rozmawiał Przemysław Prekiel

*„Żydokomuna“, reż. Anna Zawadzka, zdjęcia i montaż: Alicja Plachówna. Archiwum
Etnograficzne 2010*